



...es ici, des voitures
...re touchant et évoquant en
...ps où les femmes étaient
...montre un emploi très per
...petite pelerine, tout à fait char
...ur la tête, forme un capu
...C'est un moyen ravissa
...coiffés.
...et soutient le
...et de suppr

cert
es
re

...ces aff
...plus rapid
...ite que le
...eteurs. C
...aues
...ail figu
...On y a
...Dudin
...tout
...la c
...ité et l
...est, d'
...ision com
...ois enco
...le

des « Char
...ort du Havre
...une re
...le bassin
...Elle

...co
...fac
...ne
...co
...so
...ns
...rque

la
...pas
...une robe
...quantités?
...sa maison de
...mérique
...tes,

...s drogeries antiques
...certaines
...ard po
...sel

...Date
...ntre de la
...un de ses
...Ined
...b'ampil
...d'el duo
...ndion
...oluz
...nomiz
...d'zom
...mem
...ben

ALBATROS

VOUS
la Gale
Fem

Tytuł oryginału:
MIROIR DE NOS PEINES

Copyright © Éditions Albin Michel – Paris 2020
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2022

Polish translation copyright © Joanna Polachowska 2022

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki: Agnieszka Drabek

Ilustracje na okładce: JosepPerianes/Shutterstock (*pieczętka*),
Lila Louisa/Shutterstock (*szylid*), Maisi Raman/Shutterstock (*ręka z rewolwerem*),
sveklod/Shutterstock (*samochód*), DKai/Shutterstock (*kobieta*),
Creative Lab/Shutterstock (*gazeta*), Foxys Graphic/Shutterstock (*wstążka*),
Here/Shutterstock (*tłó*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Ci, którzy myśleli, że wojna zacznie się wkrótce, dawno się zniechęcili, z panem Jules'em na czele. Po z górą sześciu miesiącach od ogłoszenia powszechnej mobilizacji właściciel La Petite Bohème, zawiedziony, przestał już w to wierzyć. Obsługując klientów, Louise słyszała, jak pan Jules wręcz głosi, że w gruncie rzeczy „nikt nigdy w tę wojnę tak naprawdę nie wierzył”. Według niego ten konflikt nie był niczym innym, jak tylko wielkimi pertraktacjami dyplomatycznymi na europejską skalę, pełnymi efektownych patriotycznych mów i gromkich zapowiedzi, gigantyczną partią szachów, w której powszechna mobilizacja stanowiła dodatkową zagrywkę pod publiczność. Było co prawda tu i tam kilku poległych – „Jak nic więcej, niż nam mówią!” – było we wrześniu to zamieszanie w Sarre, które przypłaciło życiem dwustu czy trzystu facetów, ale „w końcu nie na tym polega wojna!”, mówił, wystawiając głowę przez kuchenne drzwi. Maski gazowe rozdawane jesienią, które leżały teraz zapomniane w kącie bufetu, stały się przedmiotem kpin w humorystycznych rysunkach. Ludzie schodzili do schronów z poczuciem fatalizmu, jakby dla dopełnienia czczego rytuału; były to alarmy bez samolotów, ciągnąca się w nieskończoność wojna bez walk. Jediną namacalną rzeczą był wróg, ciągle ten sam; po raz trzeci w ciągu półwiecza obiecywano sobie wypruć z niego flaki, ale najwyraźniej również nie kwapił się do rzucenia się na osłep w wir

walki. Do tego stopnia, że wiosną sztab główny pozwolił żołnierzom na froncie – tu pan Jules przekładał ścierkę do drugiej ręki i palcem wskazującym mierzył w niebo dla podkreślenia absurdu tej sytuacji – uprawiać warzywa! „Słowo daję...”, dodawał, wzdychając.

Dlatego rozpoczęcie ofensywy wojennej, choć tylko na północy Europy, jak dla niego zbyt daleko, z powrotem dodało mu chęci do działania. Każdemu, kto tylko gotów był słuchać, głośno oznajmiał, że „przy tym wycisku, jaki sprzymierzeni dają Hitlerowi pod Narwikiem, długo to już nie potrwa”, a ponieważ uznał sprawę za zamkniętą, mógł z powrotem skoncentrować się na swoich ulubionych tematach utyskiwań: inflacja, cenzura w dziennikach, dni bez aperitif, spokojne urzędnicze posadki, nadużywanie władzy przez dowódców kwartału – a zwłaszcza tego ramola de Froberville’a – pory godziny policyjnej, cena węgla – nic w oczach pana Jules’a nie zasługiwało na względy z wyjątkiem strategii generała Gamelina, którą uważał za niezawodną.

– Jeśli przyjdą, to wiadomo, że przez Belgię. A tam, tyle wam powiem, już na nich czekają!

Louise, która niosła talerze z porami w winegrecie i owczymi nóżkami z flakami po marsylsku, zauważyła sceptyczną minę jednego z klientów, który mamrotał:

– Wiadomo, wiadomo...

– Na Boga! – wykrzyknął pan Jules, wracając za ladę. – A niby którędy mają przyjść? – Jedną ręką zsunął razem stojaki na jajka. – Tu masz Ardeny, nie do przebycia! – Mokrą ścierką zakreślił wielkie półkole. – Tu masz Linie Maginota, nie do przebycia! To skąd twoim zdaniem mają przyjść? Zostaje tylko Belgia!

Zakończywszy objaśnianie, wycofał się do kuchni, gderając:

– Nie trzeba być generałem, żeby to pojąć, do cholery.

Louise nie słuchała dalszego ciągu rozmowy, bo to nie strategiczna pantomima pracodawcy była jej zmartwieniem, ale doktor.

Tak go nazywano; mówiono o nim „doktor” od dwudziestu

lat, odkąd każdej soboty zasiadał przy tym samym stoliku pod oknem. Nigdy nie zamieniał z Louise więcej niż kilku słów, zawsze uprzejmym: „Dzień dobry”, „Do widzenia”. Przychodził koło południa i siadał przy stoliku ze swoją gazetą. Zamawiał zawsze tylko deser dnia, nigdy nic innego. Louise stawiała sobie za punkt honoru przyjęcie od niego zamówienia, które składał spokojnym, łagodnym głosem. „Placek z owocami? – mówił. – Tak, znakomicie”.

Czytał wiadomości, patrzył na ulicę, jadł, opróżniał karafkę i koło godziny czternastej, kiedy Louise podliczała kasę, wstawał, składał „Paris-Soir”, zostawiał gazetę na brzegu stolika, a na spodku napiwek, kłaniał się i opuszczał lokal. Nawet we wrześniu, kiedy cała restauracja żyła powszechną mobilizacją (pan Jules był wtedy w pełnej formie, doprawdy aż się prosiło, żeby mu powierzyć dowództwo sztabu generalnego), doktor ani na jotę nie zmienił swojego rytuału.

I nagle, cztery tygodnie temu, kiedy Louise przyniosła mu anyżkowe crème brûlée, uśmiechnął się, nachylił do niej i przedstawił swoją prośbę.

Gdyby złożył jej zdrożną propozycję, odstawiłaby talerz, spoliczkowała go i spokojnie wróciła do pracy, nawet jeśli pan Jules miałby stracić najstarszego klienta. Ale to nie było to. Tak, oczywiście, miało to podtekst seksualny, ale było... Jak by to powiedzieć...

„Ujrzyć panią nagą – powiedział spokojnie doktor. – Tylko raz. Tylko na panią popatrzeć, nic więcej”.

Louise osłupiała, nie wiedziała, co odpowiedzieć; zarumieniła się, jakby przyłapano ją na gorącym uczynku, otworzyła usta, ale nic nie wymyśliła. Doktor wrócił już do lektury gazety, a ona zastanawiała się, czy aby jej się to nie przyśniło.

Obsługując gości, ciągle myślała o tej dziwnej propozycji – to z niezrozumieniem, to z gniewem – ale niejasno czuła, że trochę już za późno na reakcję, że powinna była od razu stanąć przed stolikiem, podeprzeć się pod boki i podnieść głos, wziąć klientów

na świadków, narobić mu wstydu... Narastała w niej wściekłość. Talerz, który wyslizgnął jej się z rąk i rozbił na posadzce, był impulsem. Wpadła na salę.

Lecz doktor już wyszedł.

Na brzegu stolika leżała jego złożona gazeta.

Louise złapała ją ze złością i wrzuciła do kosza na śmieci. „Co cię napadło, Louise?”, oburzył się pan Jules, który „Paris-Soir” doktora i zapomniane parasole uważał za swoje wojenne łupy.

Wyciągnął z kosza gazetę i posyłając Louise zdezorientowane spojrzenie, wygładził papier dłonią.

Była nastolatką, kiedy zaczęła w soboty obsługiwać gości w La Petite Bohème, której właścicielem i kucharzem był pan Jules, tęgi mężczyzna o ospałych ruchach, z wielkim nosem, gęstwą włosów w uszach, lekko cofniętym podbródkiem i ze szpakowatymi sumiastymi wąsami. Świątek, piątek nosił schodzone kapcie i czarny okrągły beret okrywający czaszkę; nikt nie mógł się pochwalić, że widział go z gołą głową. Gotował na trzydzieści osób. „Kuchnia paryska!”, mówił, unosząc palec, bardzo to podkreślał. I tylko jedno danie: „Jak w domu, jeśli klienci chcą wyboru, wystarczy, że przejdą przez ulicę”. Jego działalność spowita była niejaką tajemnicą. Nikt nie pojmował, jak temu ociężałem i powolnemu mężczyźnie, który pozornie bez przerwy urzędował za barem, udawało się przygotowywać tyle posiłków, i to takiej jakości. Restauracja ciągle była pełna; mógł serwować również wieczorami i w niedzielę, a nawet powiększyć lokal, ale nigdy się na to nie zgadzał. „Jeśli otworzysz za szeroko drzwi, nigdy nie wiadomo, kto wejdzie – mawiał, po czym dodawał: – Już ja coś o tym wiem...” Enigmatyczne zdanie zawisało w powietrzu niczym proroctwo.

To on swego czasu, tego roku, kiedy jego żona, której nikt już nie pamiętał, uciekła z synem węglarza z rue Marcadet, zaproponował Louise, żeby mu pomagała na sali. Coś, co było tylko sąsiedzką przysługą, trwało dalej, nawet kiedy dziewczyna skończyła szkołę pedagogiczną. A że dostała przydział do szkoły gminnej na rue

Damrémont, tuż obok, nie zmieniała swoich zwyczajów. Pan Jules płacił jej z ręki do ręki, najczęściej zaokrąglając sumę do pełnej dziesiątki, i robił to ze zrzędliwą miną, jakby to ona się tego domagała, a on niechętnie się zgadzał.

Louise miała wrażenie, że doktora zna od zawsze. Dlatego niemoralne wydawało jej się nie tyle to, że chce ją zobaczyć nagą, ile fakt, że był świadkiem jej dorastania. Uważała, że w jego prośbie jest coś kazirodczego. Dochodziło jeszcze to, że niedawno straciła matkę. Jak można coś takiego zaproponować sierocie? Skrzywiła się na ten lichy argument, bo od śmierci pani Belmont minęło siedem miesięcy, a od sześciu Louise nie nosiła już żałoby.

Zastanawiała się, co taki stary człowiek jak on może sobie roić, żeby chcieć zobaczyć ją nagą? W swoim pokoju rozebrała się i stanęła przed wielkim lustrem. Miała trzydzieści lat, płaski brzuch, delikatny jasnobrązowy trójkąt wżgórka. Obróciła się bokiem. Nigdy nie lubiła swoich piersi, zbyt drobnych jej zdaniem, ale lubiła swoją pupę. Miała trójkątną twarz matki, wysokie kości policzkowe, promienne niebieskie oczy i dość wydatne ładne usta. Co dziwne, te pełne wargi jako pierwsze rzucały się w oczy, choć Louise nie była skora do uśmiechu ani gadatliwa; nigdy taka nie była, nawet w dzieciństwie. W dzielnicy jej powagę składano zawsze na karb tego, co przeszła; w 1916 roku śmierć ojca, rok później wuja, plus neurotyczna matka, która najczęściej siedziała w oknie i wyglądała na podwórze. Pierwszy mężczyzna, który zatrzymał na Louise przyjazne spojrzenie, był weteranem Wielkiej Wojny z połową twarzy zmasakrowaną odłamkiem pocisku. Też mi dzieciństwo!

Louise należała do ładnych dziewcząt, lecz nigdy nie była skłonna tego przyznać. Są dziesiątki ładniejszych ode mnie, mówiła sobie. Podobała się chłopcom, ale „wszystkie się im podobają, to o niczym nie świadczy”. W szkole nieustannie odrzucała awanse kolegów, nauczycieli i dyrektorów (nie mówiąc o ojcach uczniów), którzy na korytarzach próbowali poklepać ją po pupie; nic w tym niezwykłego, wszędzie tak jest. Nigdy nie brakowało jej adoratorów.

Jednym z nich był Armand. Przez pięć lat. Uwaga, jak Bóg przykazał, zaręczeni! Louise nie była z tych, co to wydają reputację na pastwę sąsiedzkich języków. Zaręczyny były wielką sprawą. Pani Belmont rozsądnie pozostawiła matce Armanda kierowanie operacją: przyjęcie, lampka szampana, błogosławieństwo, ponad sześćdziesięciu zaproszonych gości oraz pan Jules we fraku (potem Louise dowiedziała się, że wypożyczył go w magazynie dekoracji i kostiumów teatralnych, frak wszędzie go opinał, podczas gdy spodnie nieustannie podciągał, jak wtedy gdy wychodził z kuchni) i w lakierkach, w których jego stopy były malutkie jak u drobnej Chinki. Pan Jules grał rolę gospodarza, ponieważ zamknął restaurację, by udostępnić salę. Louise miała to wszystko w nosie, chciała jak najszybciej pójść z Armandem do łóżka, żeby jej zrobił dziecko. Co nigdy nie nastąpiło.

Sprawa ciągnęła się w nieskończoność. W dzielnicy tego nie pojmowano. W końcu ludzie zaczęli spoglądać na narzeczonych krzywym okiem, podejrzliwie; kto to widział, żeby być ze sobą przez trzy lata i nie wziąć ślubu? Armand ponawiał oświadczenia, nalegał, Louise czekała z wyrażeniem zgody, aż przestanie miesiączkować, i co miesiąc odprawiała narzeczonego. Większość dziewczyn modliła się, żeby przed ślubem nie zająć w ciążę, Louise odwrotnie – nie ma dziecka, nie ma ślubu. Tyle że dziecka wciąż nie było.

W desperacji podjęła ostatnią próbę. Skoro nie mogą mieć dzieci, pójdą do sierocińca, tam tych biedactw nigdy nie brakuje. Armand uznał to za obrazę swojej męskości. „W takim razie czemu by nie przygarnąć bezpańskiego psa, który grzebie w śmieciach, on też jest w potrzebie!”, mówił. Takie powtarzające się rozmowy nabierały ostrego tonu; kłócili się jak stare małżeństwo. W dniu, kiedy pojawił się temat adopcji, wściekły Armand wyszedł i więcej nie wrócił.

Louise poczuła ulgę, bo uważała, że to jego вина. Co to się działo w dzielnicy, kiedy ze sobą zerwali! „I co z tego, skoro małej się to nie uśmiecha?! – wykrzykiwał pan Jules. – Chcecie ją na siłę wydać za

mąż?” Ale Louise brał na stronę: „Ile ty masz lat? – pytał. – Ten twój Armand to dobry chłopak, czego jeszcze chcesz?”. Mówił to jednak głosem przyciszonym, prawie z wahaniem, i dodawał: „Dziecko, dziecko! Ale to przyjdzie, te sprawy potrzebują czasu!”. Wracił do kuchni, burcząc: „Tego tylko brakuje, żebym sknocił beszamel”.

Jeśli chodzi o Armanda, to najbardziej żałowała dziecka, którego jej nie dał. Coś, co dotąd było niezaspokojoną tęsknotą, zamieniło się w obsesję. Zaczęła pragnąć dziecka za wszelką cenę, obojętnie jakiego, choćby nawet na własną zgubę. Na widok niemowlęcia w wózku pękało jej serce. Przeklinała się, nienawidziła siebie, zrywała się gwałtownie w środku nocy, pewna, że usłyszała płacz dziecka, pędem wyskakiwała z łóżka, obijała się o meble, biegła korytarzem, otwierała drzwi. „To tylko sen”, mówiła jej matka, obejmowała ją i prowadziła z powrotem do łóżka, jakby Louise wciąż była małą dziewczynką.

Dom zrobił się smutny jak cmentarz. Najpierw zamknęła na klucz drzwi pokoju, który planowała urządzić dla dziecka. Potem, leżąc na podłodze okryta jedynie kocem, spała w tym pokoju w tajemnicy przed matką, która i tak wiedziała swoje.

Pani Belmont, zmartwiona rozgorączkowaniem córki, często ją przytulała, głaskała po głowie, mówiła, że ją rozumie, że są inne sposoby na udane życie niż tylko rodzenie dzieci. Łatwo jej było mówić, bo własne już miała.

„To bardzo niesprawiedliwe – zgadzała się z córką Jeanne Belmont. – Ale... może natura chce, żebyś najpierw znalazła tatę dla tego dziecka”.

Naiwne słowa, Matka Natura i te głodne kawałki, którym zanudzano ją w szkole...

– Tak, wiem, że cię to denerwuje – mówiła matka. – Chcę powiedzieć... Rzecz w tym, że często po prostu lepiej robić rzeczy we właściwym porządku. Spotkać mężczyznę i potem...

– Jednego już miałam!

– Pewnie nie był tym właściwym.

Węc Louise brała sobie kochanków. Po kryjomu. Tu i tam sypiała z mężczyznami spoza swojej dzielnicy, spoza swojej szkoły. Kiedy jakiś młody mężczyzna w autobusie puścił do niej oko, odpowiadała na tyle dyskretnie, na ile pozwalało poczucie przyzwoitości. Dwa dni później zamykała oczy i skoncentrowana na rysach na suficie, wydawała ciche okrzyki, a od następnego dnia czekała na okres. Z myślą o dziecku powtarzała sobie: „Będzie mógł ze mną zrobić wszystko”, tak jakby perspektywa gehenny miała ułatwić poczęcie. Zdawała sobie sprawę, że popadła w chroniczną chorobę, w obsesję.

Zaczęła znów chodzić do kościoła i zapalać świeczki, spowiadała się z niepopołnionych win, byle zasłużyć na rozgrzeszenie, śniła jej się, że karmi piersią. Kiedy któryś z kochanków brał do ust jej sutek, wybuchała płaczem, najchętniej by ich wszystkich policzkowała. Przygarnęła kociaka i cieszyła się, że wciąż brudził; ciągle po nim wycierała, szorowała, wietrzyła, a egoistyczny zwierzak od razu zrobił się tłusty, wymagający, dokładnie taki, jakiego potrzebowała, by odpokutować wyimaginowaną winę, którą wiązała ze swoją bezpłodnością. Jeanne Belmont uważała, że ten kot to dopust boży, ale nie protestowała przeciwko jego obecności.

Wykończona tą nieustanną gonitwą, Louise postanowiła zasięgnąć porady lekarza. Ten postawił diagnozę: zajście w ciążę jest niemożliwe, jakiś problem z jajnikami, skutek nawracającego zapalenia jajowodu, nic się nie da zrobić. Jakby przypadkiem, tego samego wieczoru kot wpadł pod samochód przy La Petite Bohème. „Co za ulga”, skwitował pan Jules.

Louise przestała zadawać się z mężczyznami i robiła się porywcza. Nocami waliła głową w ścianę, zaczęła siebie nienawidzić. W lustrze widziała, jak na jej twarzy zaczynają się pojawiać niedostrzegalne tiki, ten zacięty, nerwowy, drażliwy i spięty wyraz twarzy kobiet, u których narasta frustracja, bo nie mogą mieć dzieci. Inne w jej otoczeniu, jak jej koleżanka Edmonde czy pani Croizet, która prowadziła trafikę, gwizdały na to, że nie mogą być matkami.

Louise czuła się tym upokorzona.

Jej tłumiona złość budziła w mężczyznach lęk. Nawet klienci restauracji, którzy wcześniej się nie krępowali, nie mieli już śmiałości dotykać jej, gdy przechodziła między stolikami. Zachowywała się ozięble, z dystansem. W szkole za plecami nazywano ją Giocondą i nie było to wcale przyjazne. Kazała sobie obciąć włosy na bardzo krótko, by ukarać swoją kobiecość, być niedostępną. Co tylko pogłębiło paradoks, bo w tej fryzurze wyglądała ładnie jak nigdy. Czasami bała się, że nabierze uprzedzenia do dzieci, że skończy tak jak ta wariatka, pani Guénot, która wzywała krnąbrnych chłopców do tablicy i kazała im spuszczać spodnie, a na przerwie stawiała nieposłuszne dziewczynki do kąta i stały tam, dopóki nie posiusiały się w majtki.

Stojąc naga przed lustrem, przetrawiała wszystkie te myśli. Być może dlatego, że nie utrzymywała już z mężczyznami żadnych kontaktów, nagle do niej dotarło, że propozycja doktora, jakkolwiek niemoralna, jej schlebiła.

♦ ♦ ♦

Mimo to w następną sobotę poczuła ulgę. Doktor zapewne zrozumiał niestosowność sytuacji, bo nie ponowił prośby. Uprzejmie się uśmiechnął, podziękował za obsługę, za wino i jak zwykle zatopił się w lekturze „Paris-Soir”. Louise, która nigdy tak naprawdę na niego nie patrzyła, skorzystała z okazji, by mu się lepiej przyjrzeć. Jeśli w zeszłym tygodniu nie zareagowała od razu, to dlatego, że nie było w nim nic podejrzanego czy niepokojącego. Zniszczona twarz, pociągła i zmęczona. Dawła mu siedemdziesiąt lat, z tym że nigdy nie była zbyt dobra w ocenianiu wieku, często się myliła. Dużo później przypomni sobie, że dopatrzyła się w nim wtedy czegoś z Etruska. Zafrapowało ją to słowo, nie należało do jej zwykłego słownictwa. Miała na myśli Rzymianina – z powodu jego wydatnego, nieco orlego nosa.

Pan Jules, podekscytowany pogłoską, że już wkrótce za

propagandę komunistyczną będzie grozić kara śmierci, proponował to rozszerzyć („Ja osobiście nawet ich adwokatów posłałbym na stryczek... A co, może nie?”). Louise sprzątała z sąsiedniego stolika, kiedy doktor wstał, gotowy do wyjścia.

– Zapłacę pani oczywiście. Powie mi pani, ile sobie życzy. I powtarzam, proszę się nie obawiać, chodzi wyłącznie o to, żeby na panią popatrzeć, nic więcej.

Zapiął ostatni guzik płaszcza, włożył kapelusz, uśmiechnął się i spokojnie wyszedł, przedtem lekko skinąwszy ręką w stronę pana Jules’a, który doszedł właśnie do ucieczki Maurice’a Thoreza („Jak nic, jest w Moskwie, bydlak jeden! Pluton, ja wam to mówię, pluton egzekucyjny!”). Louise, zaskoczona niespodziewanym powrotem doktora do tamtego tematu, o mało nie upuściła tacy. Pan Jules uniósł wzrok.

– Coś nie tak? – rzucił.

Przez cały następny tydzień narastała w niej złość; wygarnie temu staremu dziadowi, co o nim myśli. Z gniewem i niecierpliwością czekała na sobotę, lecz kiedy ujrzała go wchodzącego do restauracji, wydał jej się taki stary, taki słaby... Obsługując gości, przez cały czas szukała właściwego słowa, powodu, dla którego ulotniła się jej wściekłość. Rzecz w tym, że doktor był taki pewny siebie. Tak jak ona była wstrząśnięta jego propozycją, tak on zdawał się nie mieć żadnych wątpliwości. Uśmiechnął się, zamówił danie dnia, przeczytał gazetę, zjadł, zapłacił i w chwili gdy już miał wyjść, zapytał łagodnym głosem:

– Zastanowiła się pani? Ile pani chce?

Louise spojrzała na pana Jules’a i zrobiło jej się wstyd, że rozmawia pod drzwiami przyciszonym głosem ze starym klientem.

– Dziesięć tysięcy franków – rzuciła tonem zniewagi. Zacerwieniła się. To było okropnie dużo, nie do przyjęcia.

Skinął głową z taką miną, jakby mówił: „Rozumiem”. Zapiął płaszcz i włożył kapelusz.

– Zgoda.

I wyszedł.

– Jakiś problem z doktorem? – spytał pan Jules.

– Nie, bo co?

Niewyraźnie machnął ręką. Nie, nic takiego.

Wysokość sumy ją przeraziła. Kończąc zmianę, próbowała sporządzić listę tego, co mogłaby sobie za dziesięć tysięcy franków zafundować. Pojęła, że zgodzi się, by mężczyzna zapłacił jej za rozebranie się przed nim. Była dziwką. To stwierdzenie dobrze jej zrobiło. Potwierdzało jej własne wyobrażenie o sobie. W innych momentach, żeby dodać sobie odwagi, przekonywała się, że przecież to nic gorszego niż rozebranie się przed lekarzem. Jedną z jej koleżanek pozowała w akademii malarstwa; podobno było to głównie nudne, najbardziej bała się, że się przeziębii.

I dziesięć tysięcy franków... Nie, to niemożliwe, nie mogło chodzić o samo rozebranie się. Chciał czegoś innego. Za taką cenę... Nie miała zielonego pojęcia, czego mężczyzna mógłby wymagać za takie pieniądze.

Możliwe, że doktor się rozmyślił, bo więcej już do tego nie wracał. Upłynęła sobota. Potem następna. I trzecia. Louise zachodziła w głowę, czy nie zażądała za dużo; może znalazł inną dziewczynę, bardziej spolegliwą? Rozzłościło ją to. Przyłapała się na tym, że trochę zbyt gwałtownym ruchem stawia przed nim talerz, że burczy coś pod nosem, kiedy się do niego zwraca, krótko mówiąc, stała się taką kelnerką, jakiej sama by nie zносиła jako klientka.

Kończąc zmianę, przecierała gąbką blat stolika. Widać stąd było fasadę jej domu w zaułku Pers. Na zewnątrz dostrzegła doktora, palącego na rogu ulicy papierosa z miną człowieka, który spokojnie czeka.

Zwlekała, jak mogła, ale każda praca ma to do siebie, że się kończy. Louise włożyła płaszcz i wyszła. Miała cichą nadzieję, że doktor znużył się czekaniem, lecz wiedziała, że nie może na to liczyć.

Gdy do niego podeszła, grzecznie się do niej uśmiechnął. Wydał

jej się niższy niż w restauracji.

– Gdzie miałyby się to odbyć, Louise? U pani? U mnie?

U niego na pewno nie, to zbyt ryzykowne.

U niej zresztą też nie. Jak by to wyglądało? Sąsiedzi... Prawie ich nie miała, ale chodziło o zasady. Więc nie.

Zaproponował hotel. Kojarzyło się to z domem schadzek; zgodziła się.

Musiał przewidzieć jej odpowiedź, bo podał jej kartkę.

– Może być piątek? Koło osiemnastej? Zarezerwuję na nazwisko Thirion, zapisałem je na kartce. – Włożył ręce do kieszeni. – Dziękuję, że się pani zgodziła.

Louise przez chwilę stała z kartką, potem wsunęła ją do kieszeni i wróciła do domu.

* * *

Następny tydzień był gehenną.

Iść, nie iść? Po dziesięć razy na dzień, po dwadzieścia razy w nocy zmieniała zdanie. A jeśli sprawy się jednak źle potoczą? Hotel Aragon był w XIV dzielnicy. W czwartek poszła tam, żeby się rozejrzeć. Właśnie stała przed budynkiem, kiedy zaczęły wyć syreny. Alarm. Rozejrzała się, gdzie by się schować.

– Proszę ze mną...

Klienci gęsiego wychodzili z hotelu, niechętnym, ciężkim krokiem; jakaś starsza kobieta ujęła ją za ramię: „Tędy, te drzwi obok”. Schody prowadziły do piwnic, zapalono świece. Nikogo nie zdziwiło, że Louise nie nosi na ramieniu torby z maską gazową, bo tutaj co druga osoba jej nie miała. Musiał to być hotel z częściowym wyżywieniem, ludzie się znali. Z początku trochę na Louise popatrywano, ale wkrótce jakiś mężczyzna z wylewającym się ze spodni brzuchem wyciągnął talię kart, para młodych ludzi wyjęła szachownicę i przestano się nią interesować. Jedyne hotelarka, kobieta w nieokreślonym wieku, z ptasią głową, włosami podejrzanie czarnymi jak peruka, o twardym,

stalowoszarym spojrzeniu, otulona w mantylę, krucha i chuda – kiedy usiadła, Louise domyśliła się jej spiczastych kolan pod tkaniną sukni – przyglądała jej się natarczywie; pewnie nieczęsto widywało się tu nowe twarze. Alarm nie trwał długo, wrócili na górę. „Damy przodem”, powiedział gruby mężczyzna; czuło się, że za każdym razem serwuje tę formułę, że dzięki temu ma poczucie bycia dżentelmenem. Do Louise nikt się nie odezwał. Podziękowała hotelarce, a ta odprowadziła ją wzrokiem. Louise czuła na sobie jej spojrzenie, lecz kiedy się odwróciła, ulica była pusta.

• • •

Nazajutrz godziny mijały z szaloną szybkością. Postanowiła, że nie pójdzie, ale po powrocie ze szkoły ubrała się i o siedemnastej trzydzieści, ledwo żywa ze strachu, podeszła do drzwi.

Już miała wyjść, ale zawróciła, otworzyła szufladę w kuchni, wyjęła nóż do mięsa i schowała go do torebki.

W recepcji właścicielka hotelu rozpoznała ją i okazała zdziwienie.

– Thirion – rzuciła Louise.

Hotelarka podała jej klucz i pokazała na schody.

– Trzysta jedenaście. Trzecie piętro.

Louise myślała, że zwymiotuje.

Wszędzie panowały cisza i spokój. Nigdy jeszcze nie była w hotelu, Belmontowie w takie miejsca nie chodzili, to było coś dla bogatych... no, powiedzmy dla innych, dla takich, co to jeżdżą na wakacje albo żyją samym powietrzem. Słowo „hotel” brzmiało egzotycznie, było synonimem pałacu lub, jeśli się je wymówiło w pewien sposób, synonimem burdelu, dwóch miejsc, do których nikt z jej rodziny nie chodził. A Louise właśnie znalazła się w hotelu. Chodnik w korytarzu był podniszczony, ale czysty. Zdyszana wchodzeniem na górę, przez dłuższą chwilę stała pod drzwiami, zbierając się na odwagę, by zapukać. Dobiegł ją skądś hałas, przestraszyła się, złapała za gałkę, obróciła ją i weszła.

Doktor siedział w płaszczu na łóżku, jak w poczekalni. Był spokojny; wydał się jej okropnie stary i miała pewność, że nie będzie musiała sięgać po nóż.

– Dobry wieczór, Louise. – Jego głos brzmiał łagodnie.

Ze ściśniętym gardłem, nie była w stanie odpowiedzieć.

Całym umeblowaniem pokoju były łóżko, mały stół, krzesło i komoda, na której dostrzegła grubą kopertę. Doktor milczał, na jego ustach błąkał się tylko życzliwy uśmiech; lekko pochylił głowę, jakby chciał dodać jej odwagi, ale ona już się nie bała.

Idąc tutaj, powzięła pewne postanowienia. Przede wszystkim powie mu, że robi tylko to, co zostało ustalone, nie ma mowy, żeby jej dotykał; jeśli o to mu chodziło, natychmiast wyjdzie. Następnie przeliczy pieniądze, nie zamierzała dać się wykiwać... Ale teraz, w tym ciasnym pokoiku, zrozumiała, że scenariusz, który sobie obmyśliła, nie zostanie zrealizowany, że wszystko odbędzie się zwyczajnie i spokojnie.

Przestępowała z nogi na nogę, a że nic się nie działo, zerknęła na kopertę, szukając w niej zachęty; cofnęła się o krok, powiesiła płaszcz na wieszaku za drzwiami, zsunęła buty i po krótkim wahaniu, krzyżując ramiona nad głową, zdjęła sukienkę.

Chciałaby, żeby jej pomógł, żeby powiedział, co ma robić. W pokoju panowała nieprzenikniona, dzwoniąca w uszach cisza. Przez moment myślała, żeby zemdleć. Czy gdyby zasłabła, wykorzystałby to?

Stała, a on siedział, ale ta pozycja nie dawała mu żadnej przewagi. Jego siłą była bierność.

Tylko na nią patrzył, czekał.

Została w samej bieliźnie, a on trzymał ręce w kieszeniach i chyba było mu zimno.

Chcąc dodać sobie animuszu, próbowała odnaleźć swoje rysy klienta, którego znała, lecz bez powodzenia.

Po minucie, może dwóch zakłopotania skrzyżowała ręce na plecach i zdjęła biustonosz, bo coś przecież należało zrobić.

Spojrzenie mężczyzny, jak przyciągnięte światłem, powędrowało ku jej piersiom i choć żaden rys jego twarzy nawet nie drgnął, wydało jej się, że dostrzega na niej cień emocji. Zerknęła na swoje piersi, na różowe obwódki brodawek, i było to w jakiś sposób przykre.

Chciała już z tym skończyć. Więc zdecydowała się, zdjęła majtki i rzuciła je na podłogę. Nie wiedząc, co zrobić z rękami, założyła je za plecami.

Oczy starego mężczyzny powoli, w czulej pieśczoce powędrowały niżej i zatrzymały się na jej podbrzuszu. Minęło kilka długich sekund. Trudno było odgadnąć, co doktor czuje. Lecz jego twarz i cała postać tchnęły czymś trudnym do określenia i nieskończenie smutnym.

Intuicyjnie pojęła, że powinna się odwrócić. Możliwe, że chciała uniknąć sytuacji, w której było coś rozdzierającego.

Na lewej stopie wykonała zwrot w tył i przez moment wpatrywała się w marynistyczną rycinę, która wisiała nieco krzywo na ścianie nad komodą. Miała wrażenie, że czuje na pośladkach jego spojrzenie.

Z obawy, że wyciągnie rękę i spróbuje jej dotknąć, odwróciła się.

W tym momencie doktor wyjął z kieszeni pistolet i strzelił sobie w głowę.

* * *

Znaleziono ją nagą, skuloną, załamana, wstrząsaną konwulsyjnymi dreszczami, tymczasem stary człowiek na łóżku, leżący na boku, stopami niedotykający podłogi, wyglądał na kogoś, kto uciął sobie krótką drzemkę. Tyle że najpewniej zaskoczony widokiem odwracającej się do niego Louise, w momencie strzału opuścił nieco broń. Połowę twarzy miał zmiażdżoną, na narzucie łóżka powiększała się plama krwi.

Wezwano policję. Z sąsiedniego pokoju nadbiegł gość hotelowy. Młoda kobieta, którą ujrzał, była goła jak święty turecki; nie

wiedział, jak ją złapać. Pod ramiona? Za nogi? Mały pokoik wypełniała silna woń prochu, ale największe wrażenie zrobiła na nim krew, którą była cała spryskana.

Starając się nie patrzeć na łóżko, przykucnął obok Louise i położył dłoń na jej ramieniu; była lodowata, jak z kamienia, ale gwałtowne dreszcze wstrząsały nią jak bielizną suszącą się na silnym wietrze.

Ujmując dziewczynę pod pachy, zdołał ją postawić na nogi, mobilizując wszystkie siły, żeby się z powrotem nie osunęła.

– No... – powiedział. – No, będzie dobrze...

Spojrzała na leżącego na łóżku starca.

Jeszcze oddychał. Opuszczał i unosił powieki, wpatrywał się w sufit, jakby słyszał jakiś dziwny hałas i zastanawiał się, skąd pochodzi.

W tym momencie Louise kompletnie straciła głowę. Wydała z siebie przeraźliwy krzyk, szarpała się jak czarownica wrzucona do worka z wściekłym kotem. Wybiegła z pokoju i popędziła na dół.

Na parterze powstało zbiegowisko. Zaalarmowani wystrzałem goście i sąsiedzi ujrzeli nagą Louise, która z krzykiem, potrącając wszystkich, dopadła do drzwi hotelu.

I wyszła.

Po kilku krokach dotarła do boulevard Montparnasse i ruszyła biegiem.

Oczom przechodniów ukazała się nie naga dziewczyna, lecz zjawa; cała we krwi, z obłędem w oczach kluczyła, zataczała się, nie wiadomo było, czy nagle nie wtargnie na jezdnię, nie rzuci się pod koła; samochody zwalniały, autobusy hamowały, jakiś mężczyzna na pomoście autobusu zagwizdał, roztrąbiły się klaksony, ale ona niczego nie słyszała, szła szybkim krokiem, boso, mijający ją przechodnie patrzyli oniemiałi. Przez cały czas wymachiwała rękami, jakby odpędzała chmary niewidocznych insektów, podążała chodnikiem zygzakami, tu przeszła wzdłuż witryny sklepowej, tam okrążyła przystanek autobusowy, potykała się. Wszędzie schodzono

jej z drogi, nikt nie wiedział, co robić.

Cały bulwar był poruszony. „Kim ona jest?“, zapytał ktoś. „To wariatka, chyba skądś uciekła, trzeba ją zatrzymać“. Ale Louise już przeszła, zmierzała w stronę skrzyżowania Montparnasse. Wciąż jeszcze było bardzo zimno, tu i ówdzie na jej ciele zaczynały się pojawiać sine plamy. Miała twarz obłąkanej, wydawało się, że jej oczy zaraz wypadną z orbit.

Jakaś kobieta na chodniku, stara i chuda, w turbanie na głowie jak konsjerżka, na jej widok z miejsca pomyślała o córce swojego bratanka, która musiała być w podobnym wieku.

„Nagle przystanęła, jakby nie wiedziała, jak iść dalej. No to raz-dwa ściągnęłam płaszcz i narzuciłam jej na ramiona. Popatrzyła na mnie i upadła przede mną, jak worek, nie wiedziałam, jak ją podtrzymać, na szczęście znaleźli się ludzie, którzy mi pomogli. Była zgrabiwała z zimna, biedaczka...”

Zbiegowisko zainteresowało policję, posterunkowy zostawił na chodniku rower i łokciami utorował sobie drogę przez mały tłumek, który tłoczył się i komentował.

Posterunkowy ujrzał skuloną na ziemi młodą kobietę, pod płaszczem, jak się domyślał, gołą, która zakrwawionym przedramieniem ocierała twarz i dyszała, jakby rodziła.

Louise uniosła wzrok, zobaczyła najpierw kepi, potem mundur. Była zbrodniarką, zaraz ją aresztują.

Rozejrzała się wokół przerażona.

W przeblýsku świadomości usłyszała znowu wystrzał i poczuła zapach prochu. Z nieba opadła kurtyna ognia i odizolowała ją od reszty świata.

Wyciągnęła ramiona i przeraźliwie krzyknęła.

I zemdląa.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).